

Wychów przyszłych kadr — OWSIANKO

Od autora: chamstwo w zarodku tępić trzeba, a nie usprawiedliwiać po czasie. Nie wolno mu pobłażać, bo jak folgujesz, to dajesz sygnał, że odpuszczasz. Odpuszczanie zaś oznacza kapitulację. Przyznanie się do grzechu bezradności wobec gnojka. Jakbyś pozwalał mu na wybór: we wtorek możesz być kanalią, bo idziesz do szkoły, a w środę uczciwym człowiekiem, bo przychodzi babcia.

Możemy zaobserwować intensywną nieobecność zmian na lepsze; ośwładnęła nami źle pojęta demokracja i uciekamy z poprzedniej rzeczywistości do obecnego Świata Zgrozy. Na porządku dziennym jest skwapliwe i szczere składanie czczych obietnic, oświadczeń i hucpiarskich deklaracji przy jednoczesnym i równie szczerym ich dementowaniu.

Zastanawiając się nad określeniem charakteryzującym obecny czas, musimy dojść do wniosku, że jego podstawowymi wyróżnikami jest...kłamstwo udoskonalone, o wiele sprytniejsze od poprzedniego, bo świadome, perfidne i wypowiedane samorzutnie, bez nacisków z zewnątrz, w majestacie prawa, podawane nam do wierzenia w bezkrytycznej obwołucie z hipokryzji, niczym homologowany falsyfikat prawdy nazywany – eufemizmem; uderzmy się w piersi: do spółki ze społecznymi uzdrowicielami, wyprodukowaliśmy sobie ten pasztet.

Mówienie oczywistych bzdur już nie jest wciskaniem kitu, lecz zostało zdefiniowane jako tak zwane mi-janie się z prawdą. Ochłapus nie oznacza stuprocentowego mięczaka bijącego swoją żonę w trakcie lub po zakończeniu pijackiej balangi, lecz jest z niego nieszczęsna ofiara nałogu, w zasadzie równy gość z niedużymi problemami, człowiek tylko trochę nadużywający alkoholu. Jest kimś na kształt "bezdzielnego ojca rodziny". Nie mówimy, że bandyta, to bandyta, ale że bandyta, to niesforny ochroniarz własnego mienia. Solidny inaczej.

Doliniarz, którego przyłapano na zalotach do cudzej portmonetki i którego Policja goni beczkowitzem przez pół miasta, nie idzie odsiadywać swojej niewinności, ale, śmiejąc się z sądu, krokiem dumnym i obrażonym, wraca po ukryty w krzakach, zwędzony portfel i domaga się od nas przeprosin za „szykany”. Niczego się nie obawia, gdyż wpojono mu przekonanie o tym, że skoro jest niewinny i czysty jak krokodyl łza, skoro nie ma kary, to i zbrodni także nie ma.

Wie biedaczek, że stoi za nim prawo i prawo to nie pozwoli go ukrzywdzić. Wie, że porządnym, niejako genetycznie obciążonym uczciwością, można być np. na sejmowej sali, a wychodząc z niej – godnym szacunku paserem; uduchowionym pobożnisiem podczas mszy, a gdy w kościele pusto, szelmą łupiącym skarbonki. Wie, że nie trzeba mu chować się przed cechowaniem pleców i obcinaniem uszu, ponieważ bezpośrednio po łajdactwie może iść na proszony raut, gdzie będą gawędzić z nim jak z człowiekiem doszczętnie przyzwoitym, a on, po wpłaceniu kaucji za nieszkodliwy grzech, popędzi na swój odczyt o etyce.

Coraz częstszym zjawiskiem jest przemoc. Nasze prawne przyzwolenie na umowną wierność ideałom, czyli na deformację pojęcia wyrozumiałości i tolerancji, zaowocowało dawaniem bandytom resocjalizacyjnej nagrody za nieodpowiedzialność i kary śmierci w zawieszeniu. Wspólnym wysiłkiem humanitarnych serc stworzyliśmy mordercom i pedofilom komfortowe warunki do garowania w gabinetach moralnej odnowy.

To efekt wychowania w kulcie niezwyciężonego szmalu. Rezultat edukacyjnych bajdurzeń pod adresem młodego pokolenia, naszej relatywistycznej paplaniny traktującej o tym, jak zdobyć gotówkę, a nie ośmielającej się mówić, co z nią zrobić. Radośnie głupawego powtarzania modnych frazesów radzących nam, z kim oplaca się pójść w biznesy, a nie wspominające o tym, z kim warto iść po olej do głowy.

*

Problem ostrzegawczego klapsa? Większość wychowawców potępia profilaktyczne wciry, różgę i siłowe namawianie do posłuszeństwa. Gros optuje za cierpliwą rozmową, konsekwentną perswazją, benedyktyńskim tłumaczeniem, wyjaśnianiem, dawaniem przykładu, pokazywaniem, jak trzeba iść, by nie wejść w placek. Ale że nadgorliwość jest wrogiem sensu, a wszelka przesada - karykaturą dobrych intencji, ze słusznej myśli powstała groteska: niczym w powiedzeniu o zagłaskaniu kota na śmierć, uczynni pedagodzy z oślej łączki zagłaskali uczniowskie okrzese.

Najdalej w zakresie wzmiankowanej głupoty poszła Szwecja. Doprowadziła do tego, że ojciec i matka boją się własnego dziecka, z czego wynika, że ma ono nieograniczoną władzę nad rodzicami. U nas wiadać to choćby po lekturze Kodeksu Ucznia, gdzie prymusi z oślich ławek powołują się na długą listę swoich praw, natomiast o obowiązkach nie mówią nic lub prawie nic.

Można przerzucać się odpowiedzialnością, grać w dyskusyjnego tenisa lub dwa ognie, uprawiać sofistyczne gadki na temat tego, kto ponosi winę! Ten ping-pong trwa sobie od czasu, gdy ktoś wymyślił Kodeks Praw Ucznia (to kodeks, w którym uczeń jest królem, a nauczyciel jego lokajem).

O czym to świadczy? Ano o tym, że uczeń to niekwestionowany Pan Szkoły, Jaśnie Nieoświecony Dyktator mający w niej więcej do powiedzenia niż nauczyciel z autorytetem na gumkę od majtek.

Zilustruję ten wstydlivy *temat* przytaczając zwierzenia sąsiada z bloku:

"Też byłem wyznawcą miłości bez stosowania kar cielesnych, zagorzałym amatorem egalitaryzmu w rodzinie, lecz przeszło mi, kiedy od własnego syna oberwałem drzwiami w nos. Gdy dzieciak, z którym chciałem porozmawiać, spokojnie wyluszczyć mu, co robi niedobrze, zamknął je z hukiem wzmocnionym ordynarną wiąchą, czym do reszty wyprowadził mnie z równowagi.

Nie wiem, skąd znał te szpanerskie słowa. U nas w domu nie ma zwyczaju przeklinania; lepsza połowa jest małomówna, opanowana, przedkładająca moderację nad zapiekły jazgot. Nigdy nie podnosi głosu. Mnie również trudno posądzić o rynsztokową polszczyznę.

Prowadzimy życie bardziej niż skromne; ja pracuję, żona też. We dwójkę udaje się nam powiązać koniec z końcem. Trochę to dziwne, bo u moich rodziców do roboty chodził wyłącznie ojciec. Mama – nie. Mama siedziała w chałupie. Jako zdeklarowana kura domowa, dbała o rodzinę i zajmowała się nią w sposób tradycyjny, to znaczy prała, sprzątała, ręce po łokcie urabiała.

Mimo to przecież, kiedy ojciec przynosił pensję, mogliśmy sobie pozwolić na deczko więcej. Na beztroškę w postaci chwilowego oderwania się od powszedniej orki. Częściej bywaliśmy poza miastem, na łonie przyrody. A jak nie chciało się nam wyjeżdżać, to szliśmy do botanika.

Teraz zasuwam ja, połowica zapiernicza również, nie szarpiemy się na luksusy, toteż ledwie raz w mie-

siącu stać nas na pójście do teatru czy kupno książki. Nie mamy wakacji od żadnego legis, a i tak ledwie nam starcza na utrzymanie. Wydatków mamy więcej, niż powodów do finansowego zadowolenia, musimy więc korygować zachcianki. Pilnować, by nikt nas nie rąbnął na kasie.

Za to mały ma więcej niż my w jego wieku. Robimy, co możemy: chodzi do kina, pozwalamy mu spraszać koleżków do domu, ale woli - nie. Woli, jak nikt go nie odwiedza, a gdy pytamy, dlaczego i czy ma o coś pretensje, patrzy spode łba i odpowiada, że w sumie jesteśmy niezguły, że się nas wstydzi, bo niczego się nie dorobiliśmy, podczas gdy reszta z jego klasy dysponuje pokojami, w których rządzi jak chce, z forszą się nie liczy, ma obrotnych rodziców na opłacalnych stanowiskach, starych, co to staną w ich obronie i potrafią ustawić do pionu fikającego belfra.

A u nas bryndza, ciasnota, cała trójka na kupie no i muzy nie ma gdzie posłuchać, nie mówiąc o tym, że komputer, to marzenie. Coraz częściej jest wobec nas bezczelny, arogancki, opryskliwy, zamknięty w sobie, więc ostatnio, na osłodę, kupiliśmy mu komórkę, bo narzekał, że tylko on jej nie ma i że się nabijają, mają za byle co, traktują go z góry, z wyżyn swoich smartfonów, laptopów i kieszonkowego.

Lecz komórka nie pomogła. Była co prawda tania, ale ciut nie na czasie: retro i z lekka obciachowa, jak nam oznajmił.

Nawet go rozumiem; uczyliśmy go szacunku do człowieka, rzetelności, odpowiedzialności za własne czyny, podczas gdy podobne nauki budziły w jego kamratkach pusty śmiech, rechot zastępujący jakiekolwiek racje.

Nie byliśmy dzisiejsi; wpoiliśmy mu nieaktualne zasady. Wymagaliśmy przestrzegania wczorajszych norm i sensownych praw; wszczepiliśmy w niego te, co obowiązywały nas, co nam wyznaczały miejsce w społecznej hierarchii. Przygotowaliśmy go do istnienia w świecie, którego już nie ma, w którym ojciec to był autorytet, niekwestionowana głowa rodziny, mama to była mama, kobieta, którą należało czcić, choćby za bezwarunkową czułość objawianą dzieciom.

Ale jak ojciec, czyli ja, nie jest już głową rodziny, tylko łysą pałą i żadna z niego alfa i omega, lecz upierdliwy zgred, tak i otaczający świat sparszywił i przeszedł gruntowną metamorfozę: przeobraził się w powierzchniowy stek guseł, sztuczek, bajkowych pewników zaczerpniętych z niedouczenia, wyniesionych z podwórka czy ulic, jedynych akademii obdarzonych wychowawczą charyzmą.

Toteż skołowany, pogubiony w nim, nie bardzo się orientuje, w co ma wierzyć. Przerobiliśmy go na swoje kopyto zapominając, że prawa i wymogi obowiązujące w naszym świecie, w jego, straciły poprzednią moc, że mu tym samym zaszkodziliśmy."

Po tym zwierzeniu, mój sąsiad zwiesił głowę w nadziei, że zacznę mu współczuć. Wyraźnie oczekiwał, iż przyznam mu rację i oświadczę: „słusznie uczyniłeś, facet”.

Ale się nie doczekał, bo rzekłem mu w ten deseń: „chamstwo w zarodku tępić trzeba, a nie usprawiedliwiać po czasie. Nie wolno mu pobłażać, bo jak folgujesz, to dajesz sygnał, że odpuszczasz. Odpuszczanie zaś oznacza kapitulację. Przyznanie się do *grzechu bezradności* wobec gnojka. Jakbyś pozwalał mu na wybór: we wtorek możesz być kanalią, bo idziesz do szkoły, a w środę uczciwym człowiekiem, bo przychodzi babcia.

Moim (i nie tylko) zdaniem, pomiędzy uczniem a nauczycielem muszą być zachowane normy przestrze-

gania pełnionych ról. Gimnazjalista, to nie jest kumpel pedagoga i nie uchodzi iść z nim w tango czy mówić do niego per koleś. Podobnie pedagog; **nie może traktować ucznia jak rówieśnika, tylko jak młodszego partnera, któremu trzeba pokazać, którądy do wiedzy.**

Jak zgraja naszych „wychowawców”, która uwzięła się być dla nas PARTNERAMI - równiachami – spod - trzepaka, totumfackimi niemal, a nie przewodnikami po zawłościach życia, tak i my robimy ze swoimi pociechami to samo. Pozwalamy im na każdy kaprys, a postępujemy tak mówiąc sobie: niech ma lepiej, niż ja, bo inaczej wyrośnie na kolejnego Brewika.

Wychowanie, kształtowanie charakterów, to gra sprzecznych interesów. Nie w to, kto kogo pokona, lecz w to, czy uczeń przewyższy mistrza. Nie jesteśmy dla naszych dzieci - przewodnikami po życiu; prawdziwe partnerstwo nie sprowadza się do zgody na nieopierzoną wizję świata: prowadzi do tłumaczenia, wyjaśniania, pokazywania na przykładach złożoności życia. A także - na uczeniu szacunku, akceptacji i tolerancji dla światopoglądowych odmienności.

Tyle teoria. W praktyce, jesteśmy dla nich albo dostawcami frajdy, albo - nie znoszącymi sprzeciwu nauczycielami strachu, hipokryzji i alienacji. Zadowolamy się życiem pozornym. Osobnym trwaniem. Wzajemnym schodzeniem sobie z drogi.

Synuś powinien mieć zakreślone granice. Ma wiedzieć, co mu wolno, a czego nie. Otóż łachudrą nie może być ani we wtorek, ani w inny dzień tygodnia. I tak mu klaruj póki masz nieco sił w płuckach. Na razie uczysz go niekonsekwencji. Już teraz jest z niego arogant, a na braku empatii zna się, jak mało kto.

O czym powiedziałby ci byle psycholog, profesjonalista z wieloletnią praktyką w zawodzie. O ile zostałby dopuszczony do zabrania głosu. O ile nie zakrzyczałby go jakiś cymbał wykształcony na pedagogicznych nowinkach. Powiedziałby ci też, na czym polega całe to osławione wychowanie bezstresowe i jak ta słuszna koncepcja zamieniła się w parodię.

Zdaniem każdego rozsądnego pedagoga nie chodzi o wywoływanie strachu przed sadystycznym katowaniem, ale o klapsa, o napomnienie, zdyscyplinowanie, zademonstrowanie, że nie aprobeje się aspołecznych działań.

Truizm: to, jak postępujemy i kim jesteśmy, zależy od środowiska, w którym przebywamy. Jeżeli od urodzenia byliśmy uczeni poznawania świata złudzeń powstających z lęku, jeśli wegetowaliśmy pośród zgrubsza ciosanych przedmiotów i żyliśmy nie mając dostępu do prawdziwego piękna, to skąd mieliśmy wiedzieć, że obok intryg i egoizmu, istnieje subtelność i wrażliwość? Jak mamy być delikatni i kulturalni, jeśli nie wiemy, że pomiędzy tak uświęconymi wartościami jak fura, piwko i laski, istnieje Mozart i bywają niezrozumiałe tęsknoty?

Ale wystarczy urodzić się nie w otoczeniu awantur o pietruszkę, móc chodzić do muzeum, widzieć na jego ścianach nie ramy i gwoździe, a obrazy i przestawać z ludźmi mającymi coś istotnego do przekazania, by dostrzec, jak wiele jest nauki.

Niedługo doczekasz się, że sprawi ci solidne bęcki. Wtedy mów, że wielbisz kij, którym cię grzmoci. Że aprobejesz jego niezrozumiały sposób życia i drażniącą taktykę postępowania.

W myśl powiedzenia, że po nas choćby potop, wszystkim wszystko zwisa; dzisiejszy nauczyciel nie zajmuje się uczniami, bo uczeń, to tylko dodatek do pensji, a rodzice nie zaprzatają sobie głowy problemami

syna, czy córki; szkoła zwała winę na dom, dom na szkołę, a dzieciak lata z pałą po ulicy i szuka frajera do glanowania.

Rodzice przebywają z dala od opiekuńczych elementarzy, nauczyciele odpuszczają sobie działania stricte wychowawcze i robią to z lęku przed wiaderkiem na glacy; tak jednym, jak drugim przydałoby się prawo jazdy do bycia ojcem, matką, dydaktykiem kształtującym od podstaw dziecięcy charakter.

Przyczyn obecnego stanu należy poszukiwać w nas. To znaczy - w szkole i rodzicach. To my jesteśmy odpowiedzialni za młodzież. Za jej etyczny obraz. To my nie kształcimy w niej zasad tolerancji wobec bliźniego i miłości do ludzi. Nie dbamy o uczenie jej współżycia z resztą społeczeństwa. Wrażliwości, zrozumienia i szacunku dla innych. Optymizmu i zaufania. Otwartości i alergii na piękno.

To my wciskamy nowym pokoleniom nasz sceptycyzm i nasze fobie; nauczyciel, ojciec, matka, pokolenie starszych, są to teraz pedagogicznie chwiejne, niewykwalifikowane kpy zajęte jojczeniem na sprokurowany przez siebie świat. Na świat pełen nienawiści, podejrzliwości, agresji. Na świat traktowany jako wrogie człowiekowi otoczenie. Otoczenie, od którego TRZEBA się izolować.

Szkoła nie musi być przykrym obowiązkiem. Straconym czasem jałowej rywalizacji. Ma przygotowywać do świadomości obywatelskiego, społecznego życia we współczesnej cywilizacji. To znaczy pokazywać, że w naszym świecie istnieje wiele kultur. Równorzędnie wartościowych, specyficznych dla danego kraju.

Kultury te są naczyniami połączonymi dla całego globu. Jego krwioobiegami. Nie można ich dzielić na wyższe i niższe, lepsze lub gorsze, prymitywne i rozwinięte. Dokonywać ich klasyfikacji. Pogardzać tymi, które są inne od naszej. Trzeba traktować ich odmienność z szacunkiem, bo każda z nich ma swój rytm i przebiega zgodnie z własnym scenariuszem obyczajowych zdarzeń.

A skoro są równoprawne i niepowtarzalne, skoro rządzą się indywidualnymi zasadami, człowiek o innej kulturze nie powinien narzucać im swoich wzorów. I na tym powinna skupiać się edukacja. Na pozbawieniu człowieka jaskiniowych poglądów. Jednak zauważmy, że co pewien czas wracają do nas przechodzone rozwiązania. Czepiając się ich, podążamy ku zapaści: ku chwilowo modnym bezwładom.

Lecz uspokajam się myślą, że wkrótce przyjdzie sezon na rozsądek. Minie nam ta nacjonalistyczna fascynacja, a sprężyna cywilizacyjna przestanie odkształcać rzeczywistość; wahadło z rewelacjami gibnie się w przeciwną stronę. Powróci na poprzednie miejsce i znowu odżyjemy. Zrobimy krok w przód i w końcu przestaniemy pchać wózek z wyświechtanymi tarapatami.

Pokrzepia mnie nadzieja, że po okresie *panowania absurdu*, nastąpi przesyt skarlałą dotychczasowością i narodzi się z martwych – zwyczajność. Podejmiemy kolejną próbę znalezienia lepszych sposobów na istnienie. Bo przemijanie złego czasu to powtarzalny proces *fermentacji* lat, chaos pomieszanych zdarzeń, ruchy Browna w retortach kronikarzy bytu.

Ps. Ostatnimi czasy rzucił mi się w oczy *news* Rady Języka Polskiego. Dokonała ona oceny podstaw programowych przyrządzonych przez Ministerstwo Edukacji Narodowej. Tak się zdenerwowałem tym *newsem*, że, zamiast pigułki na uspokojenie, udzieliłem sobie okolicznościowego urlopu od szurniętych frasunków.

Ocena jest bez sensu, bo trafna. Jej zarzut główny: programy szkolne układa się latami, podczas gdy ten został sklecony na chybcika.

Niestety: nikt z MEN-u nie przejmuję się głosami ludzi, którzy znają się na rzeczy. Których nie warto słuchać, gdyż ciąży na nich śmiertelny grzech: są fachowcami. Profesjonalistami z prawdziwego zdarzenia. Tego zaś aktualni eksperci od dyletanctwa nie wybaczą. Toteż mam nieprzyjemność twierdzić, że ów projekt będzie wdrożony bez względu na inkryminacje zawarte we wspomnianym dokumencie. Pomimo błędów, stylistycznych przewrotek i nieporadności, jakich jest w nim bez liku.

Narosły nowe pokolenia i mało kto pamięta minione czasy: nowych nie interesuje przeszłość. A nie interesuje, ponieważ nikt tego od nich nie wymaga. Nie trzeba się więc oburzać na młodzież, bo to tak samo rozumne, jak gniewanie na garnek, że smoli.

Winą obarczyć należy przedstawicieli ministerstw układających szkolne programy. Decydujących o tym, jak ma wyglądać nauka. Odpowiedzialnych za wybiorcze udostępnianie jej dorobku. Mędrcy owi pochodzą z pokoleń o parę sekund starszych od dzisiejszych abiturientów: też mają wstręt do nauki historii, też nie lubią wytężonej pracy nad sobą i również nie odczuwają potrzeby czytania. Czego więc mogą nauczyć?

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

OWSIANKO, dodano 09.06.2017 09:55

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.